

Bohdan Wodiczko

Człowiek, który nie wchodził w układy

Maria Wilczek-Krupa

Nie uznawał kompromisów, nie tolerował sztuczności. W muzyce cenił szczerść, sumiennosc i warsztat. W pracy – profesjonalizm, sprawną organizację, skuteczność. Nie był człowiekiem łatwym, czy nawet otwartym. Mówiono i pisano o nim: „niebezpieczny tyran”, „kat opery”, „maniak szalonych pomysłów muzycznych”. Do historii przeszedł jako idealista-buntownik, który się władzy nie kłaniał. Zapłacił za to wysoką cenę.

Bohdan Wodiczko dyrygenturę otrzymał niejako w spadku; jego dziadek – Czech Wacław Wodiczko – pod koniec XIX w. osiadł w Polsce, podejmując się prowadzenia orkiestry Zamyskich w Zwierzyńcu. Po jego odejściu zespół przejął jego syn – Franciszek Wodiczko, skrzypek, dyrygent i pedagog, prowadzący także orkiestry amatorskie w Warszawie oraz orkiestrę teatru w Jekaterynosławiu (obecnym Dniepropetrowsku).

Lata młodości

Dyrigent w trzecim pokoleniu, Bohdan Wodiczko, przyszedł na świat w 1911 r. w Warszawie, ale dzieciństwo i wczesną młodość spędził w Wołominie. Dziś miasto szczyty się utalentowanym mieszkańcem – w setną rocznicę urodzin jego imię otrzymał skwer przy ul. Moniuszki, otwarto także Izbę Pamięci poświęconą rodzinie Wodiczków. Małe muzeum powstało w miejscu, w którym niegdyś znajdował się dom rodziców przyszłego dyrygenta – kamienica, w której mieszkał młody Bohdan, została wyburzona; podczas rozbioru zabezpieczono rodzinne pamiątki, które dziś stanowią najcenniejsze

Bohdan Wodiczko
fot. archiwum Iceland Symphony Orchestra



Był znakomitym muzykiem, dyrygentem obdarzonym niezwykle zdolnością kształtowania orkiestry niejako od podstaw i doprowadzania jej do wyżyn doskonałości. Był indywidualnością wybitną, wyrazistą. Więcej – był w naszym świecie muzycznym postacią w jakimś sensie jedyną.

Bohdan Pociąg

eksponaty izby muzealnej, urządzonej w nowym budynku przy ul. Armii Krajowej.

Franciszek Wodiczko prowadził w Wołominie orkiestrę strażacką. Szybko odkrył muzyczny talent syna i skierował go najpierw na lekcje gry na skrzypcach, później – do prestiżowych szkół muzycznych. W 1926 r. czternastoletni Bohdan roz-

począł właściwą naukę w Szkole Muzycznej im. F. Chopina w Warszawie, trzy lata później został studentem warszawskiego konserwatorium w zakresie teorii specjalnej oraz fortepianu. Pierwszą połowę lat 30. spędził z kolei w Pradze – studiując dyrygenturę u Metoda Doležala i kompozycję u Jaroslava Křički, także uczestnicząc w specjalnych kursach dyrygenckich Václava Talicha. Tuż przed drugą wojną wrócił do Warszawy, na studia kompozytorskie w klasie Piotra Rytyla oraz dyrygenckie – pod okiem Waleriana Bierdiajewa. Obydwa kierunki ukończył z wyróżnieniem.

Wojna i początki artystycznej drogi

Tak wszechstronnie wyedukowany wszedł w dorosłe, zawodowe życie, już na wstępie naznaczone wojną. By się utrzymać i przeżyć, pracował – podobnie jak Władysław Szpilman

– jako kawiarniany pianista (Szpilman grał w Cafe Capri, miejscem pracy Wodiczki była niezwykle modna przed wojną Adria). Pracy było sporo – Adria, pomimo działań wojennych, przez pierwszy rok okupacji wciąż stanowiła najelegantsze i najbardziej ekskluzywne miejsce w stolicy. W pierwszej połowie lat 30. odwiedzało ją ok. 2,5 tysiąca osób dziennie – przyciągał zwłaszcza

podziemny dancing z obrotowym parkietem oraz ogród zimowy, pełen kwiatów, krzewów i śpiewających ptaków. Na górze tego „przedsiębiorstwa kawiarniano-dancingowo-kabaretowego”, jak nazywano wówczas Adrię, za żywopłotem z kwitnących kaktusów, znajdowała się sala kawiarniana dla ok. trzystu osób, z cocktail-barem i czytelną ga-

zet na wzór wiedeńskich knajpek – pierwsze miejsce pracy Bohdana Wodiczki, spalone niemal doszczętnie w Powstaniu Warszawskim (niektóre źródła publicystyczne podają, że przyszedł maestro grał także w orkiestrze lokalu nocnego).

Pomimo wojny Wodiczko rozpoczął jednak w 1939 r. działalność w dwóch najważniejszych dla siebie dziedzinach, które towarzyszyły mu do końca jego dni: pedagogice i dyrygenturze. W tej pierwszej wystartował jako nauczyciel na tajnych kompletach – w podziemiu wykładał teorię muzyki. W 1945 r. był już nauczycielem dyrygowania w Szkole Muzycznej im. K. Kurpińskiego w Warszawie. W latach 50. los rzucił go na Wybrzeże, do Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Sopocie. Dalej była Łódź, Kraków, Poznań, Kałowie i Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna w Warszawie, gdzie – już jako profesor nadzwyczajny – pełnił funkcję prorektora (lata 1972–1973). Wykształcił sławy polskiej dyrygentury – m.in. Zbigniewa Chwedeżuka, Stanisława Gałońskiego, Roberta Satanowskiego. Przeszedł do historii jako nauczyciel wymagający, ale sprawiedliwy. Jego twardy charakter, nieustępliwość i stanowczość w pedagogice okazały się zaletą – dla tych, którym po drodze było z jego estetyką, poglądami, pozbawioną pozy postawą artysty. Bo byli i tacy, którym przeszkadzała jego muzyczna namiętność do wszystkiego, co klasyczne lub współczesne, jego niechęć do utworów romantycznych oraz przekonanie, że subiektywizm i swoboda wykonawcza nie istnieje. Byli jeszcze inni, których odrzucał on sam informując (jak zawsze) szczerze, że niczego się w dziedzinie muzyki nie uczą. Ostatecznie jednak jego sumienność, znakomity warsztat i wyczucie pedagogicznego rzemiosła dały mu wysokie miejsce w historii pedagogiki muzycznej; w 2009 r. jego imieniem nazwano ponad dwuhektarowy, dwuczęściowy skwer w Warszawie, z jednej strony przylegający do tylnych zabudowań Uniwersytetu Muzycznego im. F. Chopina, z drugiej do dawnego ogrodu przy Pałacu Zamojskich.

Przez Wybrzeże do Krakowa

W przypadku dyrygentury nie było tak różowo. Maestro przeszedł – w charakterze dyrektora artystycznego i głównego dyrygenta – przez kilka największych polskich zespołów symfonicznych, i z każdej posady wylatywał z hukiem. Wiele czynników złożyło się na te porażki, ale dwie okazały się kluczowe: nieustępliwe i zaborcze postępowanie względem muzyków oraz pewność siebie i brak pokory wobec władz, oficjeli, ówczesnych mecenasów sztuki, także wobec związków zawodowych. A warto pamiętać, że kariera Bohdana Wodiczki

przypadła na lata 1945–1985, a zatem na mroczny okres stalinowski i trudne czasy PRL.

Sam początek to jednak lata wojenne – Wodiczko po raz pierwszy w swoim samodzielnym życiu zawodowym stanął na podium w 1939 r., prowadząc Orkiestrę Symfoniczną Domów Akademickich w Warszawie. Tuż po zakończeniu wojny, w 1945 r., zorganizował amatorski zespół symfoniczny przy Milicji Obywatelskiej w Otwocku. Rok później współtworzył i został pierwszym kapelmistrzem orkiestry symfonicznej w Sopocie, wkrótce przekształconej w orkiestrę państwową pod nazwą Filharmonii Bałtyckiej. Wodiczko rozkręcił działalność zespołu – do wczesnych lat 50. sopocka orkiestra uchodziła za jedną z najlepszych w Polsce, a jej repertuar obejmował ok. dziesięć różnych programów rocznie. W tym czasie maestro próbował swoich sił także jako radiowiec – w latach 1947–1949 pełnił funkcję kierownika muzycznego Rozgłośni Polskiego Radia w Gdańsku.

Drugą połowę XX stulecia rozpoczął w Łodzi, jako kierownik artystyczny i pierwszy dyrygent tamtejszej filharmonii oraz w Krakowie, prowadząc orkiestrę wówczas jeszcze bezimiennej Filharmonii Krakowskiej (patronat Karola Szymanowskiego nadany został zespołowi w 1962 r.). W tym samym czasie podjął także współpracę z Wielką Orkiestrą Polskiego Radia i Telewizji w Katowicach.

To była już całkowicie inna praca, niż w Sopocie. Łódź i Katowice – miasta przemysłowe – w niczym nie przypominały ani Wybrzeża, ani rodzinnej, zmaltretowanej wojną Warszawy. Tym bardziej Kraków – historyczne miejsce z tradycjami, w którym jednak panowała świadoma, duszna atmosfera prowincjonalnego miasta. Tu Wodiczko zetknął się po raz pierwszy z upiornym zjawiskiem prześladowającym go do końca kariery muzycznej, także w Warszawie, która po wojnie okazała się zupełnie innym miejscem – z układami. By spokojnie pracować i utrzymać kierownicze stanowisko, trzeba było umiejętnie, ale nade wszystko zgodnie i pokornie żyć z przedstawicielami Komitetów Wojewódzkich. Wodiczko nie potrafił, jak Andrzej Szwalbe w Bydgoszczy, rozmawiać z ludźmi tak, by ich przekonać do słuszności swoich decyzji czy potrzeb zespołu. Nie umiał też, jak Antoni Wit, realizować wytrwale własnych pomysłów, zachowując jednocześnie dobre stosunki z władzami. Dla niego nie istniały kompromisy, przemilczenia, złote środki ani nawet rozważania czy dyskusje. Wodiczko wiedział, czego chce, a swoje potrzeby wyrażał nie prosząc, proponując czy prowadząc negocjacje, lecz żądając, tupiąc nogą, nakazując a nawet próbując szantażu (do legendy przeszła historia opowiedziana przez żonę

mistrza, dotycząca szantażu wobec premiera Cyrankiewicza i pozyskania w ten sposób dwudziestu mieszkań dla muzyków). To się nie mogło skończyć dobrze.

Wokół konfliktu z Witoldem Rowickim

W 1955 r. Wodiczko zamienił Kraków na Warszawę mając płonną nadzieję, że na „starych śmieciach” będzie trochę łżej. Na stanowisku dyrektora

dwa obozy: Rowickiego i Wodiczki. Bardzo malowniczo wspomina ten czas Antoni Wit (asystent W. Rowickiego w latach 60.), opowiadając o „dwóch frakcjach, których zwolennicy wzajemnie i z upodobaniem wieszali na sobie psy”.

Prawdziwym powodem rezygnacji Rowickiego z posady dyrektora Filharmonii Narodowej była wpadka podczas V Konkursu Chopinowskiego, kiedy anonimowy złośliwiec schował za kaloryferem głosy

Sam maestro bardzo szybko taki stan rzeczy potwierdził. Z orkiestrą pracował, jak chciał, żądając wiele od muzyków, ale także – dla muzyków. Hołdował przekonaniu, że dobra orkiestra, a tym bardziej narodowa, musi składać się z najlepszych wykonawców, a ci z kolei potrzebują komfortowych warunków do pracy. Żądał dla nich nie tylko odpowiednich wynagrodzeń – także mieszkań, możliwości koncertowania, wyjazdów za granicę. Za jego pośrednictwem zespół



Bohdan Wodiczko
fot. archiwum Iceland Symphony Orchestra

Filharmonii Narodowej zastąpił Witolda Rowickiego, z którym pozostawał w silnym konflikcie. Odejście Rowickiego było niejasne, w kulisach mówiono o jego dwóch prawdopodobnych powodach: zdrowotnym (tę wersję lansował sam zainteresowany) oraz personalnym (z powodu „wygryzienia” go przez jego następcę). Naturalną kolejną rzeczą, z chwilą pojawienia się Wodiczki na podium Filharmonii Narodowej ostry spór pomiędzy obydwojma dyrygentami zaognił się jeszcze silniej. Uczucie okazało się trwałe – konflikt przetrwał wiele lat, a środowisko muzyczne podzieliło się na

orkiestrowe koncertów Chopina. Występ opóźnił się o kilkanaście minut, a obecny na sali, wpływowy przedstawiciel Biura Politycznego KC PZPR zdecydował o usunięciu Rowickiego ze stanowiska. Trzeba przyznać, że była to wyjątkowo niefortunna decyzja z punktu widzenia władz komunistycznych. Zastępując Witolda Rowickiego (który podpadł prominentom niejako z przypadku) Bohdanem Wodiczką (który nie zamierzał podporządkowywać się nikomu i niczemu) przedstawiciele Komitetu Wojewódzkiego zachowali się jak przysłowiowy „stryjek, który zamienił siekierkę na kijek”.

Filharmonii Narodowej odbył swoje pierwsze wielkie tournée – do Anglii, Belgii oraz RFN. Wodiczko konstruował niestandardowe programy, coraz silniej lansując polską muzykę współczesną – wprowadził na estrady m.in. dzieła Grażyny Bacewicz, Artura Malawskiego czy Romana Palestra. O jego rządach w warszawskiej filharmonii Andrzej Chłopecki pisał: „Krótki epizod dyrektorialu Bohdana Wodiczki w Filharmonii Narodowej pozwolił mu przeprowadzić repertuarowe trzęsienie ziemi w Narodowej na miarę zewnętrznych możliwości i na miarę artystycznych ambicji [...] Do Warszawy przeniósł to, co owiało go

legendą podczas sezonów koncertowych w latach politycznie najgorszych – 1951–1955 [...] Tak jak w Krakowie był Wodiczko jedynym obrońcą XX-wiecznej muzyki europejskiej, tak w Warszawie stał się tym, który »wygrał« dla muzycznej współczesności czas politycznej odwilży. Sezony 1955/56–1957/58, programowane przez Bohdana Wodickę, oferują warszawskiej publiczności wielkie otwarcie. [...] Krótki czas [...] wciśnięty między dwie kadencje Witolda Rowickiego jest czasem niezwykłym [...] Za sprawą Bohdana Wodicki Filharmonia Narodowa w Warszawie stała się filharmonią europejską”.

Bezkompromisowe rządy w Operze

Władze Warszawy wytrzymały z krnąbrnym dyrektorem Filharmonii niespełna trzy lata. Po tym czasie do łask powrócił Rowicki, a Wodiczko wyjechał do Łodzi, gdzie przez rok prowadził orkiestrę Państwowej Operetki. Od rodzimego piekielka odetchnął na chwilę na początku lat 60., kiedy wyjechał na Islandię. W Reykjavíku, wolny od układów, represji i absurdalnych praw, zajął się organizacją życia muzycznego, propagowaniem muzyki polskiej (Chopin, Moniuszko, Karłowicz) oraz – przede wszystkim – pracą z orkiestrą amatorską, z której wkrótce stworzył sprawny i profesjonalny zespół symfoniczny. Wrócił do Warszawy na przełomie 1961/62, by objąć prowadzenie orkiestry i przyjąć posadę dyrektora artystycznego Teatru Wielkiego, w zastępstwie Jerzego Semkowskiego.

Posmakowanie islandzkiej wolności nie posłużyło jego krajowej karierze. Okres szefowania Operze Narodowej był bodaj najbardziej intensywnym twórczo, ale też najbardziej burzliwym momentem jego artystycznego życia. Zaczął od zastrzeżenia, że wszelkie decyzje (personalne oraz artystyczne) będzie podejmował sam. Kolejnym posunięciem było zwolnienie około stu osób – artystów niezależnych (m.in. Ewy Bandrowskiej-Turskiej i Marii Fołtyń), ale także przedstawicieli Podstawowej Organizacji Partyjnej. Wręczał im wypowiedzenia z zimną krwią i bez zbędnych konwenansów, podając jedynie konkretne powody zwolnienia oraz bezwzględnie punktuąc wady i niedoskonałości ich dotychczasowej pracy. Bardzo szybko zraził do siebie zespół, związki zawodowe, przedstawicieli POP i urzędników Komitetu Wojewódzkiego. Właściwie – miał przeciwko sobie wszystkich, poza... słuchaczami.

Jedyną grupą społeczną, która wielbiła Wodickę bezapelacyjnie, byli melomani. Pierwszy spektakl Opery Narodowej, poprowadzony przez Wodickę w styczniu 1962 r. (*Król Edyp* Igora Strawińskiego w słynnej inscenizacji Konrada Swinarskiego i ze znakomitą scenografią Jana Kosińskiego) odbił się szerokim echem nie tylko w Polsce, ale i w Europie. W Wiesbaden kurtyna szła w górę kilkadziesiąt razy, prasa rozpisywała się o charyzmie i muzycznym geniuszu dyrygenta oraz reżysera. Potem doszły kolejne sukcesy – m.in. *Święto wiosny* Strawińskiego i *Don Carlos* Verdiego, wreszcie najbardziej śmiało, samobójcze przedsięwzięcie: *Straszny Dwór* Moniuszki w reżyserii Aleksandra Bardini. Polska opera narodowa w komicznej odsłonie, absolutnie niezgodnej z doktryną socrealistyczną, przesądziła o dalszym losie Wodicki. Prasa pisała o „kacie opery”, „muzycznym tyranie”, „maniaku szalonych pomysłów muzycznych”. W 1965 r. maestro ustąpił ze stanowiska dyrektora artystycznego Teatru Wielkiego, chroniąc się ponownie w ciepłym zaciszu wolnej Islandii.

Do swojej śmierci w 1985 r. Wodiczko kierował jeszcze Wielką Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia i Telewizji w Katowicach (1968–1969) oraz orkiestrą Teatru Wielkiego w Łodzi (1977–1979). W ostatnich latach życia występował sporadycznie, skupiając się przede wszystkim na działalności organizacyjnej i pedagogicznej. Za swoją niesubordynację zapłacił wysoką cenę, nie tylko dlatego, że go usuwano z zajmowanych stanowisk, ale przede wszystkim z powodu prasowej nagonki, jaką zafundowały mu komunistyczne władze. Wykonanie *Straszego dworu* uznano za antypolskie i godzące w dobre imię wszystkich rodaków, zaś samego Wodickę postanowiono publicznie unicestwić. Za swoje niekwestionowane osiągnięcia maestro otrzymał zaledwie kilka nagród, w tym – wspólnie z Wojciechem Kilarzem – nagrodę Związku Kompozytorów Polskich w 1975 r. Nie wspomniano i nie wykorzystywano pozostawionych przez niego nagrań (zarejestrował na płytach ok. sześćdziesięciu utworów), wyrzucono z repertuaru program telewizyjny *Słuchamy i patrzymy*, stworzony wspólnie z Januszem Cegiellą. Dopiero stulecie urodzin mistrza odświeżyło społeczną pamięć o nim – człowieku trudnym i niepokornym, muzyku bezkompromisowym, artyście prawdziwym. ®